TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel, 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie..........$1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii..........$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 29. Chicago, Ill., Czwartek, 21-go Lipca, 1898. Rok XII.

Książę Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Dokończenie.)

— A on mnie z pola uprowadził — i wskazał palcem na atamana.

— On cię uprowadził? — powtórzył Iwan Wasiljewicz, z zdziwieniem patrząc na Koleo. — Jakże to? — mówił dalej pilnie mu się przypatrując — jakże to? przecież mówiłeś, że pierwszy raz dopiero jesteś w tym kraju. Ho, ho! poczekajno bratku, mi się zdaje, żeśmy starzy znajomi. Czyś to mi nie opowiadał kiedyś o Gołubinej księdze? Tak, tak, znam cię, przecież toś i Srebrnego z więzienia uprowadził. Jakim że to sposobem, hoży człowieku, przejrzałeś na oczki od tego czasu?

Nie kontent z zamięszania atamana car utkwił w nim pytające, przenikliwe spojrzenie.

Koleo spuścił oczy.

— No — powiedział w końcu car — co było, to było, a co przeszło, to trawą zarosło; powiedz mi tylko, dla czego po razańskim pogromie nie przyszedłeś do mnie razem z swoją bandą?

Na to odpowiedział Koleo, przywołując całą swą odwagę na pomoc.

Wielki carze, nie zasłużyłem wtedy jeszcze na twą wielką łaskę. Wstyd mi było pokazać ci się na oczy. A gdy kniaź Nikita Romanowicz przyprowadził do ciebie moich towarzyszy, zawróciłem znowu na Wołgę do Jermaka Timofeicza, aby Bóg dał mi zasłużyć jakim szlachetnym czynem

na twoje przebaczenie.

— A przez ten czas moje pieniądze z statków kradłeś, i posłów Cyziłbaskich na drodze do Moskwy grabiłeś.

Iwan Wasiljewicz mówił to więcej z ironią niż z gniewem. Od chwili zuchwałego wtargnięcia Waniuchy Pierścienia do carskiej sypialni przeszło siedemnaście lat, a gniew cara nigdy nie ciągnął się tak długo, gdy nie był spowodowany obrazą jego osobistej godności.

Koleo wyczytał z twarzy Jana jedynie chęć naśmiania się z jego zakłopotania. Stosując się więc do tego carskiego usposobienia, spuścił głowę i zostawując na ustach ledwie zauważyć się dający uśmiech, rzekł.

— Wielki carze, prawda, winien jestem przed twą carską miłością.

— Dobrze — rzekł Jan — winy swoje wraz z Jermakiem zgładziliście, ale gdybyś mi wtedy padł w ręce, to wybacz!...

Koleo nie odpowiadał nic, jeno sobie pomyślał: "dla tego też nie przyszedłem do ciebie wtedy, carze!"

— Poczekajno, tu powinien być twój przyjaciel. Hej! — zawołał, zwracając się do dworaków — czy tu jest ten rozbójniczy wojewoda, jak go tam! — Nikita Srebrny.

Uczynił się szmer w zebraniu, lecz nikt nie odpowiadał.

— Słyszycie! — powtórzył Jan, podniesionym głosem — czy jest tutaj ten Nikita, co chciał służyć ze złodziejami w Zyzdrze?

•Na powtórne zapytanie cara wystąpił z szeregów pewien stary bojarzyn, który był niegdyś wojewodą w Kałudze.

— Carze — rzekł z nizkim ukłonem — nie masz tu tego, o kogo się pytasz. 17 lat temu zabitym został przez tatarów i cała drużyna z nim poległa. Było to akurat tego samego roku, jak do Zyzdry przyszedł.

— Tak? a szkoda. Chciałem zobaczyć, jak to wy się uściskacie — tu car zwrócił się do atamana, który minę miał smutną.

— Żal ci go, co? — spytał Jan z uśmiechem.

Żal, carze — odrzekł Koleo, nie bojąc się rozdraźnić cara tem wyznaniem.

Car powiedział pogardliwie: — swój swemu brat.

Czy naprawdę Jan nie wiedział o śmierci Srebrnego, czy też udawał, że nie wie, by pokazać, jak mało sobie robi z tych, którzy nie szukają jego łaski — Bóg jedyny może to odgadnąć. Gdyby zaś w samej rzeczy teraz dopiero dowiedział się o jego losie, to i tu również trudno odpowiedzieć, czy go żałował czy nie? Ale na twarzy Jana nie można było dostrzedz najmniejszego żalu.

— Pomieszkaj tutaj — rzekł car do Iwana Koleo — a jak będzie wyruszał Bołchowskij, idź z nim napowrót do Jugorskiej ziemi. Ale prawda, zapomniałem, że to Bołchowskij wywodzi swój ród od Ruryka. Z tymi wielmożnymi książętami nie łatwo dać sobie radę; ze mną jeszcze w równi chcą się stawić. To też żeby się nie obraził, że jest pod wodzą kozackiego atamana, mianuję Jermaka kniaziem sybirskim. Szczełkałow — zwrócił się Jan do djaka — przygotuj papiery do Jermaka, napisz także, żeby Mametkuła do Moskwy pod dobrym konwojem przysłał. Wygotuj i do Strogonowych papiery; za dobrą służbę daję starszemu Semenowi — Dużą i Małą Sal na Wołdze a Nikicie i Maksymowi pozwalam bez wznoszenia podatków zajmować się kupiectwem w tamecznych miastach i osadach.

Strogonowi nizko się skłonili.

— Któryż z was — spytał Jan — wyleczył Borysa, gdy go jesionem zraniłem.

— To mój starszy brat, Grygorij Anikin — odpowiedział Semen Strogonow. — Z woli boskiej umarł w zeszłym roku.

— Nie Anikin lecz Anikiewicz — rzekł car, kładąc akcent na ostatniej zgłosce. — I wtedy mu mówiłem, że więcej jest niż gość i powinien się naszym obywatelem wołać. I wam to wszystkim kazałem się podpisywać: wicz i liczyć się nie za gości, lecz za obywateli naszej ojczyzny.

Teraz zaczął car oglądać rozmaite podarunki od Jermaka przysłane, i pozwolił odejść Iwanowi Koleo, powiedziawszy mu jeszcze parę łaskawych żarcików.

Wnet też rozeszło się i całe zebranie.

Tego samego dnia Koleo wraz z Strogonowymi obiadował u Borysa Fedorowicza, gdzie znajdowało się także wiele innych osób.

Po zwykłem osuszeniu puharów za zdro-

cara, carewicza, całego domu carskiego przewielebnego metropolity, Godunow ...ósł toast na cześć Jermaka Timofeicza ...ielnych jego towarzyszy. A wszyscy ... wstali i kłaniając się atamanowi, ...:

— Niech żyje na chwałę ruskiej ziemi!

— Bijemy ci czołem od całej prawosła...j ziemi — rzekł Godunow, skłoniwszy nizko — a w tej osobie i Jermakowie ...ofeiczowi, od wszech książąt, bojarów, ...upców i od całego prawosławnego na...

— Niech przejdą! — krzyknęli goście ...niech przejdą imiona wasze do synów ...wnuków i do najdalszych potomków na ...ałę wieczną, na wzór i na naukę!

Ataman wstał z za stołu, by podzięko... za cześć, lecz twarz mu się nagle zmie... od wewnętrznego wzruszenia a w śmia...h oczach, być może, po raz pierwszy w ...u, łzy się pokazały.

— Niech żyje ruska ziemia! — rzekł ...bo i odkłoniwszy się na wszystkie strony, ...dł znowu na swe miejsce nie dodawszy słowa.

Potem Godunow prosił atamana, by opo...dział cośkolwiek z swych pochodów w ...birze i Koleo, zamilczając o sobie, zaczął ...owiadać o niezwykłej sile i odwadze Jer...ka, o jego sprawiedliwości i łagodności ...rześciańskiej, z jaką zawsze obchodził się ...zwyciężonymi.

— Tą łagodnością — zakończył Koleo Jermak uczynił więcej jeszcze niż szablą. ...k tylko bierzemy jakie miasto, Jermak w ...j chwili poczyna obdarzać mieszkańców. ...gdyśmy ujęli Mametkuła, to nie wiedział, ...k ma już mu dogadzać. Szubę zdjął z ...ych ramion i włożył ją na carewicza. ...raz też po całym kraju rozniosła się wieść, ...nietylko dobrze ale i korzystnie jest mu ...poddawać. Więc rozmaici kniaźkowie ...mi doń przychodzili i jasak przynosili. ...esołe było życie na Sybirze! — mówił da...j ataman — jednego tylko żałowałem, że ...było z nami kniazia Nikity Romanowi...a Srebrnego; i jemu by się tam podobało ...nam by było weselej. Zdaje się, Borysie ...orowiczu, byłeś nim w przyjaźni, pozwól ...eraz wypić jego zdrowie.

— Niech mu będzie królestwo niebieskie westchnąwszy, rzekł Godunow, którego nic nie kosztowało wyrazić swe współczucie dla męża, tak szanowanego przez jego gościa — królestwo niech mu będzie niebieskie — powtórzył nalewając puhar — często go wspominam!

— Spokój jego duszy! — odparł Koleo, i osuszywszy do dna kubek, opuścił głowę i zamyślił się.

Długo jeszcze biesiadowali przy stole, i choć skończonym był obiad, nie puścił i wtedy Godunow nikogo do domu, wprzód prosił by każdy odpoczął i do końca już poświęcił mu ten dzień. Znowu podano przeróżne zakąski, wina, desery. Rozmowa szła za rozmową i dopiero późno wieczorem, gdy patrol już po kilka razy objechał ulice, krzycząc, żeby gaszono ognie, rozeszli się goście, mile wspominając uprzejmość gospodarza.

Więcej niż trzysta lat minęło od opisanych przez nas zdarzeń, i mało zostało na Rusi wspomnień z owych czasów. Krążą jeszcze między narodem legendy o sławie, rozkoszy, przepychu i okrucieństwach groźnego cara. Śpiewają jeszcze gdzie niegdzie pieśni o skazaniu na śmierć carewicza, o napadzie Tatarów na Moskwę, o zawojowaniu Sybiru przez Jermaka Timofeicza, którego wizerunki choć niepodobne można obaczyć po dziś dzień prawie w każdej sybirskiej izbie. Ale w tych legendach, pieśniach, opowiadaniach — prawda pomięszana jest z wymysłem. Dają one tylko niepewny kontur prawdziwych zdarzeń, pokazując je jakoby przez mgłę i pozwalają według własnego upodobania tłómaczyć sobie te niejasne obrazy.

Wierniej charakteryzują zewnątrzną stronę tego panowania niektóre ocalałe budowle, jak cerkiew "Wasilja Błażennawa", której pstre kopuły i ozdobne komnaty mogą dać pojęcie o dworcu Jana w Aleksandrowskiej Słobodzie. Lub cerkiew "Tryfona Naprudnawa" między Butyrską i Krestowską rogatką. Wybudował ją sokolnik Tryfon — jak Bogu ślubował. Widać tam dotychczas św. patrona, na białym koniu, dzierżącego na rękawicy sokoła.

Od czasu jak to jest napisane, cerkiew

Tryfona Napr. tak została przerobioną, że jej nie można poznać. Zewnątrz przeróbki, malowidła i sztukaterye w nowym stylu. Wszystko to, jak powiadają "pryczetniki", z dobrowolnych ofiar.

Słoboda Aleksandrowska, po wyjeździe z niej cara Iwana Wasiljewicza stała w zapomnieniu; jako ponury pomnik jego występnej nabożności i raz jeden tylko ożyła i to na bardzo krótki czas. W smutne lata samozwańców, młody dowódzca, książę Michał Wasiljewizz Skapin Szujskij, wraz z szwedzkim jenerałem Delagardi zjednoczył w jej murach swe wojenne siły i zmusił ztamtąd polskiego wojewodę Sapiekę do odstąpienia od długiego oblężenia Troicko Sergiewskiej Ławry.

Później, jak opiewa legenda, podczas jednej mroźnej zimy, w miesiącu styczniu, ku przerażeniu mieszkańców nadciągnęła nad Aleksandrowską Słobodę czarna chmura. Od uderzenia gromu zapaliły się wieżyce i cała Słoboda poszła z popiołem. Od przybytku rozkoszy, rozpusty, rozbójstwa i świętokradzkich nabożeństw — nie ostało i śladu. Oby i nam Bóg pomógł zgładzić z serc naszych ostatnie ślady tych strasznych czasów, których wpływ, jak dziedziczna choroba, długo jeszcze potem przechodził w życie nasze z pokolenia na pokolenie. Przebaczmy grzesznym cieniom cara Iwana, albowiem nie on sam tylko zdaje sprawę z swego panowania. Nie on sam tylko wytworzył swą samowolę, tortury, tracenia i zausznictwo, które weszło w powinność i w zwyczaj. Te oburzające zjawiska były przygotowane dawniejszemi czasy, i ziemia, która upadła tak nizko, że mogła patrzeć na nie bez oburzenia, sama stworzyła i wykarmiła Jana, zupełnie jak zgnuśniali Rzymianie, z czasów upadku, wytworzyli Tyberiuszów, Neronów i Kaligułów.

Osobistości, jak: Wasilij Błażennyi, kniaź Repnin, Morozow, Srebrny, pojawiały się często, niby świecące gwiazdy na pochmurnem niebie naszej ruskiej nocy, ale jak one gwiazdy, nie miały siły rozwiać ciemności, bo świeciły oddzielnie, i nie były wzmocnione lub podtrzymane przez ogół. Przebaczmy grzesznym cieniom Iwana Wasiljewicza, ale pamiętajmy o tych, co będąc w jego mocy, ostali się złemu, bo trudno bardzo nie upaść w takich czasach, gdy wszystkie pojęcia są zmienione, gdy podłość zowie się cnotą, przedajność i zdrada — mienią się prawem, a cześć i sława ludzka — to występne przekroczenie powinności. Spokój popiołom waszym, ludzie. Płacąc daninę wiekowi widzieliśmy w Groźnym narzędzie boskiego gniewu i znosiliśmy je cierpliwie, lecz wyście szli prostą drogą, nie bojąc się ani śmierci, i życie wasze nie przeszło daremnie, nic bowiem w świecie nie ginie, i każda rzecz, i każde słowo i każda myśl wyrasta jak drzewo; i wiele dobrego i złego, co jak zagadkowe zjawisko znajduje się do dziś dnia w rosyjskiem życiu, ma ukryte swe korzenie w głębokich i ciemnych wnętrzach przeszłości.

KONIEC.

JASKINIA BEATUSA.

POWIEŚĆ

— DLA —

WSZYSTKICH SZLACHETNIE MYŚLĄCYCH.

(Ciąg dalszy.)

Każda marszczka na jego twarzy świadczyła o życiu smutnie wśród dolegliwości przepędzonem. Można było przecię z rysów jego wyczytać, iż się zupełnie zdał na wolę Boską. Pokazywało się to też w każdem poważnem poruszeniu, w całej jego osobie szanownej.

Długa, srebrzysta broda spadała na

...bardzo pięknie, czarny jego płaszcz, długiej szaty podobny, był na biodrach ...epasany i czołgał się za nim po ziemi.

Nagłe zjawienie się tego męża na gó... ...zadziwiło mieszkańców doliny. Ktoby ... zkądby przyszedł, nie wiedzieli tego. — ...dnakowoż poznawszy go bliżej, szanowali ...kochali go jak ojca. Widzieli bowiem w ...żdem jego słowie tyle rozsądku i mądro... w każdym jego ruchu tyle uprzejmości, ... jego twarzy taką łagodność, w jego u...ynkach tyle ludzkości i szlachetnego umy... iż mu się wkrótce całkiem powierzyli i ... przed każdem rozpoczęciem ważnego ja...wo dzieła o radę pytali. Zaraz na począt... znano go pod nazwą Beatusa. A że go ...żdy szanował nie nazywano go inaczej, ...k ojcem Beatusem.

Ojciec Beatus wybrał sobie mieszkanie ...śród skały i aby się od słoty i wichrów ...bezpieczyć, przykrył swoją jaskinię chró...em i mchem po skałach rosnącym. Obok ... jaskini znajdowała się kapliczka, w któ... się zwykle modlił. Jaskinię zaś i ka...czkę otaczał mały ogród, w którym drze... owocowe rosły i w którym sobie co rok ... nasadził ogrodowizny, ile mu do wy...wienia się potrzebnem było. Napój swój ...rpał z krynicy, która przy podnożu wy...kiwała. Wtedy tylko, kiedy go goście ...wiedzili, wypił z nimi kubek wina, które ...ą przynieśli. W dzień trudnił się czem ... ogródku albo też plótł kosze zgrabniu...e z sitowia. Wieczorem zaś siedział ...d chatką i grał na harfie, dopóki zorza ... zgasła.

Samotne to i na stósownem miejscu wy... mieszkanie, nazywali mieszkańcy do...y "Jaskinią Beatusa." Nie było tam wo...bey zapewne nikogo, ktoby na skałę nie ... świętobliwego ojca w chatce jego ...omnej nie nawiedził. Lecz nie było też ...ogo, ktoby nie zbudowawszy i nie po...wiwszy się, nazad wrócił. Każdy zaczął ... takich odwiedzinach pracować z nową ... około swojego zbawienia.

Od strony, gdzie góra ku jezioru się ...szczała, nie łatwo było wdrapać się do ...ni Beatusa, a żaden miejsca nieświa...y, nie ważył się iść niebezpieczną tą ... było tu koniecznie biegłego przewodnika potrzeba. Z drugiej zaś strony ciągnęła się kręta i dosyć szeroka dróżka. Idąc nią, szło się ciągle w cieniu wzrastającej brzeziny, a górne zioła pachniały na około. Lecz aby i od owej strony doliny do Beatusa dostać się można, czekał na przeciwnym brzegu jeziora pewny młodzieniec ze wsi Merlinger, który każdego, bez wszelkiej nagrody, przez jezioro przewiozłszy, niebezpieczną ową ścieżką na skałę wprowadzał. Ztąd kochał też Beatus młodzieńca tego, któremu Klaus na imię było, a który się uczciwie z połowu ryb utrzymywał, ze wszystkich znajomych najczulej. Ile razy Klaus podróżnych do chaty przyprowadził, wziął go Beatus za rękę i rzekł: "Dobry Klausie! Lubo nic za przysługą twoją nie chcesz przyjąć; przecię masz dobrą nagrodę; odbierasz bowiem podzięki od podróżnych, skarbisz sobie u mnie na szacunek a Bóg ci ześle swoje błogosławieństwo."

Gdy już kilka lat upłynęło a ojciec Beatus przewoźnika Klausa coraz bardziej kochał, gdyż w nim młodzieńca znalazł, jakiego sobie tylko w pustyni swej mógł życzyć, zatrzymał go dnia pewnego u siebie, gdy znowu ludzi na skałę przyprowadził, dłużej jak zwykle i prosił go, aby z nim kubek wina wypił. Mając sobie te zaprosiny za wielki zaszczyt, przystał Klaus na to jak najchętniej. Poczem rozmawiali z sobą bardzo długo.

Wreszcie przybrał świętobliwy ojciec poważniejszą postać. Smutliwe rysy smutnej jego twarzy okazywały, jakoby sobie odkryciem pewnych tajemnic ulżyć chciał na sercu. — "Wiesz co? dobry Klausie!" rzekł starzec. "Jużem ja się zgrzybiał, a godzina, kiedy mię Bóg do siebie zawoła, zapewno już nie daleko. Życia mego, tajemnicą będącego, nie mogę zamilczeć. Nim skonam, muszę je koniecznie komu powierzyć. Bo chociaż już żyć przestanę, może to, co powiedzieć zamyślać, innym nie małym może być pożytkiem. Dobry Klausie, odkąd cię tylko znam, zawsze się takim pokazałaś że cię za najgodniejszego utrzymywać muszę, któremubym mógł najwięcej zaufać. Wiem, że mego zaufania nie nadużyjesz. Opowiem ci więc moją historyą; ona cię wzruszy, wzruszy cię do łez. Ach będzie to ulgą dla

mnie starego człowieka."

Już na te słowa stanęły przewoźnikowi łzy w oczach. Podziękowawszy starcowi świętobliwemu za zaufanie od kilka lat doznawane, prosił go, aby go i nadal swą miłością udarzał. Poczem Beatus tak zaczął: "Odzież tę pustelniczą, którą z sobą do grobu wezmę, noszę dopiero od czasu, jak tu na tej skale mieszkać zacząłem. Przedtem zaś połyskiwała na mnie świetna rycerska zbroja. Szyszak prześliazny z wielkiem powiewającem piórem pokrywał mą głowę, a przy moim boku wisiał miecz potężny a miał złotą rękojeść. Odziedziczyłem go po moich przodkach. Będąc hrabią, posiadałem zamek starożytny i mocny, leżący nad Czeską granicą. Podług właściwego imienia nazywam się Rudolfem z Falkenbergu."

"Od dawnych już czasów nawiedzał mię Bóg swoimi krzyżykami. Najprzód straciłem małżonkę. Zaraz po pierwszych kilku latach pożycia naszego małżeńskiego, śmierć mi ją wydarła. A że mię dobre wychowanie syna mojego bardzo obchodziło, oddałem go do największego przyjaciela młodości, który się nazywał rycerz Merenfelz. Syn mój nie miał jeszcze lat dziewięciu, gdym go już z domu daleko wysłał. Zawsze mię cieszyło, gdy mi donoszono iż zdrowo wzrastał i że z niego będzie kształtny młodzieniec, który się wśród synów rycerskich godnie zakazać potrafi i wielką pociechę dla swego wychowawcy przyniesie. Przecię było wyrokiem nieba, iż mego Henryka, jedynego mego syna, tej całej mojej nadziei i podpory w starości, nigdy już w życiu do serca przycisnąć nie miałem. Ach, ciężki to zaiste krzyżyk, jednakowoż ja się do Boga nie przestaję modlić w duchu i w prawdzie. Jest on często ostrym ojcem, lecz w swych zamiarach nie zawsze niepojętym. Na cesarskich turniejach otrzymał mój syn nagrodę najznaczniejszą, poczem chciał w ojcowskie moje objęcia powrócić. Lecz Bóg mu nie pozwolił tem mię uradować. Zaszczyt ów bowiem naraził na mnie straszliwego rycerza, gdyż Henryk mój syna jego pokonał. Odtąd stał się ów rycerz najzaciętszym wrogiem. Po niedługim więc czasie naszła we włości mojej czerń nieprzyjacielska. Zbrojnych moich odparto tak, że się do grod[u] schronić musieli. Będąc w mocnej tw[ierdzy] twierdzy oblężony, posłałem pogoń do [Me]renfelzu, aby mi towarzysz mej młodoś[ci] jak najspieszniej z odsieczą przybył ku p[o]mocy. Poczciwy ten rycerz wysłuchał [mą] prośbę i stanął wraz z synem moim i lic[z]nym orszakiem wkrótce w tej okolicy. [U] podnóża pagórka rozpoczęła się walka [z] nieprzyjacielem. Widząc to z grodu, nabr[a]liśmy nowego męztwa, lubo nas mało był[o], wypadliśmy bramą, aby, gdy na to przy[j]dzie i życie łożyć. Ach, drogi Klausie! by[]ła to ciężka dola, noc pełna trwogi, gdy[ś]my się mężnie ucierali. Ja sam spotkałe[m] się osobiście z czarnym rycerzem. Długo[ś]my z sobą walczyli; wreszcie zwyciężyłe[m] przecię; lecz w chwili, gdym go krwią zbr[o]czonego z konia powalił, przeszyto mię [ze] strony nieprzyjacielskiej tak, żem bez zmy[]słów na ziemię upadł."

"Około północy ocuciłem się wreszcie [i] poznałem, żem tylko był lekko włócznią [w] lewą pierś draśnięty. Więcej się więc ni[e]spodziewanym ciosem przeląkłem, niżem by[ł] ciężko raniony. Trwoga mi tylko zmysł[y] odjęła. — Wydobywszy się potem z podł[o]py na mnie powalonych trupów, nikogo ju[ż] na pobojowisku nie spostrzegłem. Okrop[na] cisza panowała naokoło. Odległe migani[e] pochodni i głuchy szczęk dały mi do zro[]zumienia, iż się na wzgórzu Falkenberskiem zbrojni znajdowali. Lecz wkrótce poznałe[m] z przestrachem, iż to byli nieprzyjaciele. B[o] co tylko życie odzyskawszy, gdym chc[iał] mych ludzi wyszukać. ujrzałem, jak z [] Falkenberskich ogromne wybuchnęły płomi[e]nie, tak, że całka okolica wśród nocy [] dniem jaśniała. Możesz sobie łatwo wyob[ra]zić, dobry Klausie, co za straszne ucz[ucia] me serce dręczyć musiały, gdym na tak [o]kropny patrzał pożar. Owa noc nieszczęs[li]wa jeszcze mi żyje w pamięci. Ile razy [o] nią wspomnę, dreszcz mię przechodzi. N[ie] mogłem inaczej myśleć, jak że wróg odnió[sł] zwycięztwo. Śmierć mego przyjaciela i syn[a] jedynaka ciągle mi stała na myśli. A [] by ich też wróg nie był zabił, wtedy [] działem tylko ciemne więzienie, w k[tó]... smutnie i haniebnie mieli kończyć [] ach! życie, które jeszcze nędzniejsze n[]

je. Mnie przynajmniej przyświeca słońce, a w nocy połyskują dla mnie gwiazdy. Wolno mi jest chodzić po błoniach kwiatami ozdobionych. Mogę czcić Boga, upatrując wszechmocność Jego w całem przyrodzeniu. A w taki sposób zapominam o ciężkiej niedoli, choć tylko na kilka godzin. U rąk jego brzękają kajdany, będą brzękać póki żyć nie przestanie, a na zgniłej tylko słomie wolno mu wypoczywać, ach a ciało jego jest wyschłe, wycieńczone."

"Tak myśli męczyły mą duszę, skoro się tylko ocuciłem z odurzenia. Lecz dobry Klausie, kto się na Boga spuści, tego on nie opuści. Tymczasem, gdy się na wzgórzu zamek mój w gruzy i popiół obracał, uklęknąwszy na pobojowisku i wzniósłszy oczy ku niebu, na którem nieprzeliczone mnóstwo gwiazd świeciło, błagałem Boga, aby mię natchnąć raczył, cobym miał począć. — Wtem szepnęło we mnie: "Wstań! biedny nędzarzu! Syn twój, druch twój—obaj są w ręku nieprzyjaciół. W tej okolicy nic nie masz, coby cię zatrzymywać mogło. I gród Merenfelz opanuje nieprzyjaciel, zabiwszy jego pana. Szukaj gdzie w dalekich stronach jakiego ustronia. Tam ulżyj sobie w swem cierpieniu przez łzy cicho płynące. Tam poświęć resztę dni swoich Bogu przedwiecznemu. Wstań i oddawszy się pod Jego opiekę, puść się w drogę. Zobaczysz, że cię dobrze poprowadzę."

"Taki był głos wewnętrzny. Ja też stary i raniony nędzarz wstałem i pobiegłem, aby przed wschodem słońca w innej stanąć okolicy. Długo tułałem się po kraju, jako pielgrzym przebrany. Nigdziem nie miał miru. Wreszcie dostałem się do tej okolicy, gdzieście wy mię dobrzy ludzie, chętnie przyjęli. Tu sobie też na skale w rozpadlinie tej chatkę uklеciłem. Muszę przyznać, że nigdziebym nie osiągł takiej spokojności w cierpieniu duszy, nigdzie tak zupełnego zdania się na wolą Boską, jak tu na samotnem tem miejscu. — Niepewność tylko, czy mój syn żyje, czy nie żyje, najwięcej mi dokucza. Iluż ja się to już podróżnych z daleka przybyłych, iluż śpiewaków po zamkach uczęszczających pytałem, czyby imienia Henryka z Falkenbergu nie słyszeli. Lecz niestety wszystkie me badania na nic się nie przydały."

"O jakże się uraduję, gdy wreszcie tam z ponad owej sośniny wieczór się zamroczy, który mię ma zawołać do wiecznej ojczyzny, gdzie żonę, syna i przyjaciela znajdę. Gdy z tej kapliczki w wieczór na Anioł pański brzmieć nie będzie, wtedy już nie będę na ziemi. O wtedy przybywaj, dobry Klausie, przybywaj z wszystkimi, którzy tylko starego Beatusa i złóż z prawdziwem nabożeństwem, cicho i skromnie, kruche jego ciało w grobie, który tam przy kaplicy w skale na mnie czeka."

Tu zamilkł starzec. Przy ostatnich słowach przerwały łzy jego opowiadanie. Klaus zaś schwyciwszy go za rękę, pocałował ją. Długo nie mógł przemówić. Wreszcie rzekł: "Ojciec Niebieski nie doświadcza swych dzieci na wieki Może być, iż tu jeszcze wielkiej dożyjecie radości." — Na to odrzekł Beatus: "O dałżećby Bóg!" i otarł sobie łzę po licach spadającą. "O dałżećby Bóg!" powtórzył. "Wszak co tylko na mnie przeznaczy, w wszystkiem czczę wolę Jego najświętszą."

W czasie tej mowy nakłaniało się słońce coraz bardziej do wierzchołków gór zachodnich. Podziękowawszy Klaus świątobliwemu ojcu z całego serca za opowiedzenie swych przypadków, potem jeszcze raz za ufność w nim pokładaną, pożegnał się i wyszedł za progi chatki. Beatus wyprowadził go aż do drzwi ogrodu. Tu się rozstali. Przewoźnik zszedłszy ze skały, powiosłował przez jezioro do domu. Beatus zaś został jeszcze cokolwiek na miejscu, a patrząc na zorze wieczorne, rzekł: "Miałożby jeszcze słońce radośniej dla mnie wejść? Ach zachodzi ono zawsze bez pociechy. Lecz nadziejo! tyś jest ludzką pocieszycielką. Ja w tobie jeszcze dufam. Ale i w grobie jest nadzieja. Więc ty, mój grobie! zawsze mię znajdziesz gotowego! Godzina, kiedy mię Bóg do siebie wezmie, zawsze mi będzie miłą."

———

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Szlachetna rodzina w Szwajcaryi.

Dnia pewnego w jesieni, kiedy już chłodno być zaczynało, a słońce już nad zachodem było, ujrzała się wreszcie Teodora wraz z Otonem swoim na wierzchołku góry, dokąd się kilka godzin męczyła. Będąc mocno znużoną, usiadła sobie na skale, zkąd się piękny widok na piękną okolicę otwierał. Tułała ona się już była długo po obcym kraju, a synek jej z nią razem. Wszędzie wyszukiwali najbezludniejsze bezdroża, aby tylko nie wpaść w ręce nieprzyjaciół. Tu i owdzie trafili na ludzi miłosiernych, którzy im od głodu kawałek chleba lub jaki kącik na spoczynek dali. Najwięcej zaś znaleźli nielitościwych i surowych. Byli nawet tacy, którzy się z biednej niewiasty i ich posądzać śmieli. To też Teodorze największą sprawiało boleść. Płakała ztąd bardzo gorzko. Tysiąc razy byłoby jej milej głód mrzeć i pragnienie znosić, gdyby tylko na dusze litościwe napotkała. Przecię spuściwszy się zupełnie na wyroki Boskie, znosiła każdą potwarz cierpliwie bez najmniejszego szemrania.

Siedzieli więc na wierzchołku skały. Z głodu i z pragnienia zaczął Oton płakać. Teodora zaś płakała z kłopotu, co sobie na przyszłość pocznie. Nawet nie miała noclegu, a noc już była blisko. Patrząc na urzewniającego sobie chłopca, jeszcze jej się żałośniej stało. "Muszę się od niego odwrócić," rzekła "muszę, abym już dłużej na jego łzy nie patrzała. One mi, gdyby miecz, serce przenikają. Widzieć swoje dziecię płaczące a nie módz mu pomoc, ach cóż to za męczarnia dla matki! O Boże! ty, który państwo powietrzne żywisz i lilie polne przyodziewasz, o nie zapomnijże i o nas, twych dzieciach tu na skale jęczących! O ześlij nam jaką pomoc! Wszak u Ciebie wszystko podobne." — Teraz przyszedł jej na myśl mąż. "Ach mój Henryku!" westchnęła, gdybyś ty biedę swej Teodory widział i wyrzekania swego syna słyszał, gdybyś ty łzy policzyć mógł, które po owej okropnej nocy wylałam, ach Henryku! cóżbyś powiedział? Jakżeby ci się wtedy serce zakrwawiło? Wiem ja dobrze; modlisz się za nami do Boga, aby nas swą łaską wspierać raczył."

Gdy jeszcze mówiła, uderzyły o jej uszy głosy pieśni alpejskiej; brzmiały one bardzo przyjemnie, bardzo słodko. Zrozumieć można było co następuje:

Zmrok zakończa trudy
Znowu już,
Spoczywają trzody
I ich stróż.

Kto ma kłopot w łonie,
Z troski schnie:
Niech podniesie skronie,
Lżej niech tchnie.

Cichać doba spada,
Wieczór ten,
Bóg, co wszystkiem włada,
Ześle sen.

"A więc śpijcie, śpijcie!" brzmiało wreszcie w zachwycających polach alpejskich, aż się dźwięki, mdlejąc coraz bardziej rozeszły. Wtem schodząc pewnym krokiem ze skały, pokazała się wieśniaczka. Stanęła ona przed Teodorą, gdy ta przysłuchując się jeszcze na murawie klęczała.

W śnieżystą odzież była ubrana dziewczyna. Spostrzegłszy niespodzianie nieznajomą zlękła się nieco. Po chwili zaś ochłonąwszy ze strachu, przemówiła grzecznie do Teodory: "Zapewnieś Pani znużona i nie możesz więc stanąć na miejscu nim noc zapadnie."

"Ach!" odpowiedziała Teodora z westchnieniem, "gdzież będzie wreszcie to miejsce, na którem stanę? Dobre dziewczę! trzeba ci wiedzieć, żem jest biedną, nieszczęśliwą bez wszelkiego zakątka. Długo się już tułam po ludziach wcale mi nieznajomych. W dzień muszę się kłopotać, gdzie siebie i dziecię moje posilić, a gdy wieczór nadejdzie, nie wiem, gdzieby noc przepędzić. Co do mnie, znoszę wszystko spokojnie i cierpliwie, lecz patrząc na moje biedne dziecię, które tam pod krzakiem leży i płacze, myślę, że mi serce pęknie z żałości. Ach biedny ten chłopiec! Już wczoraj od wieczora ani kęska w ustach nie miał. Cały dzień błądziliśmy w bezludnej okolicy. Na nikogośmy nie napotkali."

Na to użalenie nieszczęśliwej Teodory, zaczęła dziewczyna płakać. Miała bowiem bardzo miękkie serce. "Dziękuję więc Bo-

gu," rzekła potem, "że mię tu zaprowadził, i że jestem w stanie wam dopomódz. Pójdź drogi chłopczyku! usiądź tu obok matuli. Przyrządzę wam wiejski posiłek." Tu podniosła chłopca ze ziemi i poprowadziła go do matki. Widząc to Teodora, zapłakała. Tak ją dobroć dziewczyny wzruszyła.

Ta zaś postawiwszy koszyk, który na ręku niosła, na murawę, wyjęła chleb a posmarowawszy go świeżem masłem a potem jeszcze i biednej niewieście i jej synowi po kawałku. Z wielkiego drewnianego naczynia, które w drugiej ręce była niosła, nalała w czysty garnek gliniany mleka i postawiła go przed ubogich podróżnych, mówiąc: "Lecz teraz, droga Pani, otrzyj sobie łzy i jedz, a niech ci smakuje. Ty zaś chłopczyku nie płacz mi więcej; patrz ojciec Niebieski znowu ci pokazał, że się tobą opiekuje." Usiadłszy potem obok nich dziewczyna, cieszyła się serdecznie, iż mogła patrzeć na podróżnych, jak się posiłkiem pokrzepiali i coraz weselszymi stawali.

Spostrzegłszy mandolinę wiszącą na różowej wstążce u boku nieznajomej, pytała się z zadziwieniem, coby to było. Teodora zaś wziąwszy instrument w rękę, uderzyła w struny i zaśpiewała miłą piosnkę do wieczornego nieba w jesieni. To dziewczynę tak zachwyciło, że ledwie oddychała. A gdy się śpiewka skończyła, skacząc z radości, powtarzała ciągle: "Nie, nie! Tak słodkich dźwięków jeszcze nigdy nie słyszałam! Nasi pastuszkowie grają tylko na fajarce, a rogi naszych myśliwców, gdy na dzikie kozy wychodzą, nie mogą wydać tak przyjemnych głosów jak to narzędzie. Jabym Pani coś radziła, gdyby mię tylko Pani usłuchać chciała. Jutro będziemy obchodzić zwykłą uroczystość Alpejską, Elpersund nazwaną, która co rok w jesieni przypada, gdy już trzody z gór, gdzie całe lato na pastwisku były, na zimę powracają. Wtedy się śpiewa, cieszy i dziękuje Panu Bogu za błogosławieństwo. — Dzisiaj już późno. Pójdźcie więc ze mną do chaty mych rodziców; jest to niedaleko, zaraz u podnóża tej góry; tam się możecie przenocować; możecie u nas mieszkać póki wasza wola. Jutro zaś musi nam Pani kilka pieśni i pięknych piosnek zaśpiewać."

Teodorze zdawało się, jakby jej to anioł z nieba przełożył. Tak przyjemnie mówiła dziewczyna. Rzekła wiec Teodora: "Jak najchętniej przyjmuję twe życzenie i zaprosiny. Teraz się bowiem już nie potrzebuję o nocleg kłopotać. Dziękuję ci więc po tysiąc razy a Bóg cię błogosławić będzie. — Lecz, dobre dziewczę! rozważyłaśże też, czy się twoi rodzice gniewać nie będą, gdy im ubogich wędrowników przyprowadzisz?"

"O nie troszcz się Pani o to bynajmniej", rzekła dziewczyna coprędzej. "Moi rodzice są dobrzy ludzie, bardzo dobrzy. Gdy teraz do domu przyszła sama tylko i im o was powiedziała, nigdyby mi tego nie darowali."

Nie mogła więc Teodora nic więcej mieć przeciw temu. Wzniosła tylko oczy do nieba i podziękowała Bogu. Wziąwszy potem chłopca za rękę, rzekła: "Pójdź mój Otulku! Teraz nie przyjdzie nam na tej tu skale pod gołem niebem nocować. Widzisz! jak rychło Bóg nasze modły wysłuchał. O bądź mu też zawsze wdzięcznego serca."

Poszła więc za dobrą dziewczyną żwawo naprzód spieszącą, pełna serdecznej radości, iż Bóg ją na tę noc a może i na kilka dni przytułkiem opatrzył. A że teraz droga z góry prowadziła, nie było już dla niej tak przykro. Szczególniej zaś czuła się owym małym posiłkiem orzeźwioną i mocniejszą.

W krótkim czasie uszli dosyć wielki kawał. Gdy mały Oton znowu zemdlał, wzięła go matka za jednę a dziewczyna za drugą rączkę i prowadziły go tak. — Wreszcie stanęły w dolinie. Miły brzęk dzwonków krowom pod gardłem wiszących, wolno do wsi postępowały; fujary pasterskie wkoło po pagórkach wieczorne pieśni przygrywające i ostatnie głosy rogów, na których myśliwcy powracając z łowów na dzikie kozy, tam ze skał trąbili, tak, że się wśród łańcuchów dziesięciorakiem odbijały echem, wreszcie tu i tam na spadzistości góry wyśpiewujący jodłami koźlarek — wszystko to napełniło serce Teodory cudnem, spokojnem uczuciem. Zdawało jej się w duszy, jakby w owej dolinie na zawsze zostać miała i jakby tam dla niej jeszcze dni najszczęśliwsze przeznaczył.

Nagle skręciła się droga około pagórka. Wtem ujrzeli w niejakiej odległości przyjemny domek nad łąką przy gałęzistej lipie zbudowany. Na około otaczał go sadek i ogrodek z kwiatami. Od ostatnich promieni słonecznych płowiejąc, wzbijał się dym z komina. Był to znak, iż skrzętna gospodyni dla swych domowników wieczerzę przyrządzała.

"Patrzcie!" rzekła dziewczyna, za smugi wskazując, "patrzcie, oto nasz domek! Spieszmy, aby w nim, gdy właśnie słońce zajdzie, stanęli."

Będąc już blisko chaty, znaleźli naokoło cichość jak najgłębszą. Było tylko słyszeć zwiędłe liście, jak z małym szelestem z drzew spadały. Drzwi i okna domku były zamknięte. — Stanąwszy Teodora z swym synkiem podług woli swej prowadzicielki pod lipą, wzięła mandolinę w rękę, a gdy jej dziewczyna, która się poprzednio w ogrodzie za krzewy skryła, znak dała, zabrzmiały struny, a z ust Teodory zadźwięczał śpiew następujący:

Widząc tej chatki ustronnej progi,
W którą się szczęście spokoju zlewa,
Dalej mię nie chcą nieść wątłe nogi,
Aż nędza moja swą pieśń zaśpiewa.

Najdrożsi ludzie, którzy tu mieszkacie,
Wesprzyjcie biedną, jeźli litość macie.
Tylko kawałek grubego chleba,
Tylko kawałek, o miejcież litość!

A odbierzecie nagrodę z nieba,
O! odbierzecie za swą użytość.
Bóg nam powiedział: "Co biednemu dacie,
To mnie stało, ztąd mą łaskę macie."

Lecz jeszcze się pierwsza strofa jej pieśni nie skończyła, aż się tu drzwi chatki otworzyły, a z za proga wychylił się mężczyzna cokolwiek w wieku z miłą twarzą. Przysłuchiwał on się śpiewowi. Rysy jego od chwili do chwili jeszcze coraz milsze przyjmując ułożenie, dowodziły, iż mu się pieśń bardzo podobała. Niezadługo przybiegła do niego gospodyni domu. Zapewno jej gotowanie wieczerzy prędzej z izby wyjść nie pozwoliło. Była to niewiasta jeszcze silna i dziarska, a każdy rys jej twarzy prawił, o ile była ludzką. Znajdowała ona w śpiewie tak wielką radość, równie jak jej mąż. Dla tego też kilka razy w ciągu owej pieśni utyskując, mówiła: "Ach, mój ty miły Boże! czemuż tu Rózi nie masz. Toby to dopiero było dla niej wesele!" Powoli zeszli się parobcy i dziewki a nawet i ludzie za łąką mieszkający i otoczywszy śpiewaczkę na około, przysłuchiwali się jej z ciekawością.

Gdy się pieśń skończyła, wyszedł Lejthold, tak się bowiem ów gospodarz nazywał, z za proga i zbliżył się do nieznajomej. Za nim pobiegła żona jego Gertruda.

"A witajże mi Pani, witaj za tak piękny śpiew!" rzekł Lejthold do Teodory. "W ciągu pieśni Pani zdawało mi się, jakbym się w raju znajdował; bo to też Pani swemi cudnemi głosami serce wzruszyć i oko do łez pobudzić może, równie jak pustelnik w jaskini Beatusa świętobliwem swem słowem. Lecz za to też Panią nie puszczę. W chatce mej znajdzie się nocleg wygodny. Tak, tak! Jużci noc. Pójdź więc Pani i wypocznij sobie po dniowem utrudzeniu. Alubo nie jestem w stanie za słodki śpiew godnie wynagrodzić, uczęstuję Panią przynajmniej wiejską wieczerzą." Toż samo powtórzyła Gertruda. A zoczywszy chłopca przy Teodorze, wykrzyknęła z radości: "O cóż za prześliczne dziecię! Patrz tylko, te piękne jasne kędziorki, to wielkie oko niebieskie, płeć ta jak śnieg bialutka! Gdyby nie było synem tej białogłowy, założyłabym się, że to jest pacholę jakiego rycerza." To rzekłszy, porwała chłopca na ręce i wycisnęła mu kilka pocałunków.

Serdeczne to zaproszenie ze strony poczciwych ludzi, rozczuliło Teodorę aż do łez. "Przyjm moje dziękczynienie o Boże!" rzekła głośnym i uroczystym głosem, "o przyjm iżeś mię wreszcie po ciężkich utrapieniach w tę dolinę zaprowadził, żem tu bogobojnych tych ludzi znalazła, których — troski i nędza biednej, nieszczęśliwej niewiasty i jej dziecięcia tak bardzo obchodzą." Poczem zwróciwszy się do dobrego starca i jego żony, rzekła: "Drodzy ludkowie, gdyby nie wasza litościwa córeczka, nigdybym się tu nie dostała. Bez jej pomocy byłabym wraz z mojem dziecięciem na owej górze zapewno umarła. Dobra dziewczyna! niech ją też za to Bóg błogosławi."

Spojrzawszy po sobie mąż i żona z zadziwieniem i oraz z wyrazem radości, spy-

tali: "Co, nasza córka? Byłaż to nasza Rózia? Lecz gdzież jest ona?" Wtem wyskoczyła dziewczyna z poza krzaków. Starzec najprzód ją zoczył. Zawołał więc: "Patrz jeno, matko, patrz! Otóż i ona! prawdaż to, Róziu?" Przytem błyszczało jego oko uweselnieniem nad dobrym uczynkiem swej córy. Matka zaś przyspieszywszy do Rózi,pochowała ją i rzekła z uśmiechem: "Poczekaj ty pocieszny ptaszku! Pocóżeś się skryła wśród krzaków? Czyż, abyś podsłuchała, jak cię będziem chwalić?" Potem rzekła z powagą: "Róziu! dobrześ zrobiła. Jesteś przez to swoim rodzicom nową pociechą, nowym zaszczytem. Pokazałaś całemu światu, żeś bogobojnie i po ludzku wychowana. Gdy o tem Ojcu Beatusowi powiem, pochwali cię bezwątpienia. Cieszę się bardzo z twojego postępku a anieli w niebie cieszą się jeszcze bardziej. Dzisiejszej nocy będziesz spokojnie spała, a słodkie sny będą twą duszę bawić, bo święci aniołowie będą się przy twojem łożu bawili. Ty zaś, Róziu, powinnaś się najbardziej cieszyć, bo Bóg ci błogosławić będzie. Lecz nie poprzestań na drodze cnoty postępować."

Teraz przypomniał Lejthold, że mieli iść do chaty, dodając: "Niezdrowe powietrze jesienne wieczoru, mogłoby łatwo tej Pani i jej dziecięciu zaszkodzić." Ciekawi słuchacze, którzy się byli około Teodory zebrali, rozeszli się powoli wkrótce po śpiewie, ciągle się pytając, ktoby była owa nieznajoma z owym pięknym chłopczykiem.

Wziąwszy Gertruda Teodora za rękę, prowadziła ją do domku. Rózia zaś postępowała za nim z Otonem. Lejthold biegł na samym ostatku, spoglądając po nad góry Alpy, czy się też chmury nie zbierają, czy się też można spodziewać pogody na uroczystość jutrzejszą. Widząc, że wszędzie niebo wyjaśnione, zamknął za sobą drzwi z temi pobożnemi słowy: "Boże, zachowaj mi mój miły domek tej nocy od wszelkiej przygody!"

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Uroczystość nazwana Elpersund.

Jeszcze nie zawitał dokładnie brzask poranku oknem do poddaszku, w którym Teodora nocowała, a już ją można było widzieć klęczącą wraz z Otonem. Dziękowali oni Bogu za słodki wypoczynek, którego już tak dawno nie mieli. Wczoraj na wieczór rozmawiała Teodora bardzo przyjemnie z swojem gościnnem gospodarstwem, tak, że aż około północy poszła na spoczynek. Pokrzepiająca wieczerza a jeszcze bardziej szczerość, z jaką dawano, rozweseliły ją niepospolicie. Oton zaś zapomniał wkrótce uciążliwości w czasie kilkotygodniowej podróży poniesionych i był sobie w wiejskiej rodziny jak w domu.

Gdy już po modlitwie wstali, wszedł do poddaszku Lejthold w odświętne suknie ubrany. Z początku dał się był tylko cokolwiek widzieć, drzwiami na pół otwartemi. Lecz widząc iż już nie śpią, zawołał: "Jakże, droga Pani! wygodny nocleg? Zdaje mi się żeś Pani dobrze spać musiała; długośmy bowiem wczoraj rozmawiali. Sam nie myślałem, aby tak późno być mogło. A ty kochany malcze, wyglądasz już dziś tak dziarskim, jak ptaszek wśród wiosny. Poczekaj tylko, będzie ci się u nas podobało; już dzisiaj znajdziesz tu z naszymi chłopcami wiele rozrywek." Tu pocałował go Oton w rękę, lubo się starzec bardzo temu wzbraniał. Teodora zaś za wszystko z głębi serca podziękowała.

Gdy jeszcze więcej dźwięków wynurzać chciała, przerwał jej Lejthold i pokazując na niebo, rzekł: "Podzięki należą się dla Boga, od którego wszystko mam, co Pani tylko dać mogłem. — Wiesz Pani co? Pani nas dzisiaj jeszcze opuścić nie możesz. Nie stojęż tu w odzieży niedzielnej? Obchodzimy dzisiaj Elpersund. Chociaż Panią Rózia na to święto zaprosiła, przecieć i ja sam powtarzam to samo jak najuroczyściej. Z swoją mandoliną możesz się dziś Pani z wszystkich najbardziej odznaczyć. Każdy będzie się przysłuchiwał śpiewowi Pani z niewymowną radością, a ja wypatruję w Pani oczach, że Pani chętnie radość sprawiasz."

— Z rozczuleniem przyjęła Teodora te zaprosiny, mowiąc: "Dobrzy wy ludzie! O gdybyż się Panu Bogu podobało, abym mogła dni moje pędzić tu w tej miłej dolinie, tu wśród dobrodusznych mieszkańców, o jakżebym mu dziękowała, temu dawcy wszech rzeczy; a jakżebym była spokojną, jakże szczęśliwą, gdybym jeszcze w mem życiu wesołą być mogła. A że sami tego chcecie, zostanę tu na uroczystość i będę ile możności wszystkie z wami dzieliła uciechy. — Ale, przyjacielu, musicie mi darować, jeźli wam nic wesołego śpiewać nie będę. Acz od pewnej nocy, w której wszystko straciłam, ach po owej strasznej nocy nie jestem w stanie wydobyć na mandolinie ani jednego głosu, któryby brzmiał wesoło."

Ostatnie te słowa wzbudziły w starcu szczególną ciekawość. Przybycie nieznajomej do doliny, szlachetne rysy jej twarzy, czysta jej mowa, w odzieży ślady szat niegdyś wykwintnych i wiele innych rzeczy, które śledzące oko w przechodniach dostrzega, wszystko to było wśród ubiegłej nocy osnową rozmowy dwugodzinnej między Lejtholdem a jego żoną. Teraz zaś dopiero dorozumiał się, iż nieznajoma nie jest żadną pospolitą mieszczanką, lecz zapewno z szlacheckiego rodu. A ztąd wypadło przyzwoicie się z nią obchodzić. Tymczasem przeciwnie nie pokazał bynajmniej, że się tego domyślał. "Chociaż Pani," rzekł do niej "wesołych piosnek nie śpiewasz, to przecież nucisz nabożne, a to będzie dla wszystkich mieszkańców w dolinie bardzo pożytecznem. Takim sposobem zwrócą swą myśl wśród zabaw i igrzysk na tego, który wylał swe błogosławieństwo na ich trzody, łąki i winnice i który jest właśnie przyczyną dzisiejszej radości."

Teraz sprowadził ją i syna jej z poddaszku na dół. W izbie byli wszyscy zaprzątnieni gotowaniem się na uroczystość. Cały dom był ciemno zieloną jedliną upiękniony, a pod gałązkami czerwieniły się i żółciałe jesienne kwiatki, obok wieńca z liścia dębowego poprzyczepiane. Lipa przed domem stojąca była różnobarwnemi wstążkami ustrojona a na wszystkich prawie gałązkach wisiały czerwono-żółte jabłka i winogrona niebieskie. Próżne miejsce w około lipy było bluszczem i kwiatami posypane a odtąd aż do sieni stały po obu stronach młode jodły, pod któremi umocnione były stoły i ławki z jedliny. Słysząc Gertruda Teodorę po schodach zstępującą, wybiegła czemprędzej z kuchni do sieni i prosiła o przebaczenie, iż się nią jeszcze nie zajęła. "Lubobym to rzekła dawno powinna była uczynić, nie mogłam przecie, dla zbyt wielkiego zatrudnienia. "Teodora zaś uspokoiła ją jak najgrzeczniejszymi słowy i udała się nawet do kuchni, aby łaskawej gospodyni w czem bądź pomódz. Oton tymczasem skakał sobie z Rózią pod lipą, pomagając wić wianki i sypiąc kwiaty na ziemię.

Po upływie jednej godziny, zgromadziło się już ludzi bardzo wielu. Po wszystkich drogach i łąkach widziano ich w odświętnem odzieniu śpieszących. I z chat nadgórnych biegło wielu. Starzec wraz z żoną witał grzecznie wszystkich, i uprzejmie, prosząc ich, aby sobie pod lipą usiedli. Był to piękny widok, gdyż wszyscy tak poufale, bez przymusu, przy sobie siedzieli. Pasterz przyłączył się do winnicarza a winnicarz do myśliwca. Jeden powiadał drugiemu o swoich przypadkach w ciągu ubiegłego roku, a wszyscy zgodzili się wreszcie na to, iż im Bóg znowu obficie pobłogosławił i tak potrzebom nadchodzącej zimy zaradził.

Ujrzawszy zaś nieznajomą i syna, pytali się po cichu, cóżby to byli za jedni nowi ci goście, których sąsiad na uroczystość zaprosił, zkądby przyszli i dokądby się mieli udać. Aby się o co gospodarza zapytać, do tego brakowało im śmiałości. Wreszcie powiedziała im Rózia, że idąc wczoraj wieczorem przez górę, Panią ową i dziecię jej napotkała na drodze a potem z sobą do domu wzięła.

Postępowanie Teodory podobało się wszystkim. Z przystojnością chodziła między wieśniaczkami i pozdrawiała ich uprzejmie bez wszelkiego przymusu. To zgromadzenie przywiodło jej na myśl owo wesołe okrężne pod kasztanami na zamkowym podwórzu. Szczególnie długo mówiła z starcami doliny, którzy jej ludzkości dosyć wychwalić nie mogli. Oton zaś bawił się z chłopcami przybyłymi na uroczystość i był tak szczęśliwy, jak gdyby się na dziedzińcu

Waldberskim znajdował.

"Teraz," rzekł Lejthold, widząc, iż się wszyscy zebrali, "teraz brakuje tylko jeszcze bogobojnego Ojca Beatusa. Przyobiecał mi bowiem, gdym był u niego ostatnią razą, iż dziś z pewnością przybędzie. Stary już kruchy, droga przez skały zapewno już dlań za utrudniająca. A zachorować! przecię tak nagle nie zachorował."

"A strzeż go Boże," rzekli wszyscy. Kilku zaś, którzy na góry patrzeli, wstawszy, zawołali: "O, patrzcie, no! To on! Oto tam idzie. Ze skał zstępuje! Dalej pójdźmy mu na przeciwko!" Wszyscy się też zaraz zerwali. Chłopczęta i dziewczęta pospieszyli naprzód i zaczęli sypać drogę kwiatkami. Potem postępował Lejthold z Gertrudą. Rozia prowadziła Teodorę i Otona. Za nimi przyłączyła się cała rzesza wesołych wieśniaków.

Przy kładce na łące przez rów położonej, spotkali się z czcigodnym Ojcem. Wszyscy więc wykrzyknęli gdyby jednym głosem: "Witamy, witamy!" Przytem potrząsali zdjętymi z głowy kapeluszami. Beatus zaś spojrzał po nich wzrokiem, najszczersze pozdrowienie wyrażającym. Właścicielom zaś owego domku podał poufale rękę i rzekł: "Ach więc się dzisiaj ucieszymy w Panu. Bo jak się zdaje, ma upodobanie z dzisiejszej uroczystości, dając nam wśród jesieni dzień tak pogodny."

Na skinienie matki wyprowadziła Rózia wśród tłumu nieznajomych przychodniów. Na pierwsze wejrzenie poznał Beatus po wspaniałej postaci, iż Teodora jaką nieszczęśliwą rycerzową być musiała. "Jakże gospodarzu, rzekł z uśmiechem do Lejtholda, macie więc na ten rok parę nowych gości." Równocześnie wywiedział się, jakim sposobem do doliny trafili. A gdy Teodora pełna wdzięczności, powiedziała była, wziął starzec dziewczynę za rękę i błogosławił ją temi słowy: "Panie! chowaj to dziecię w bezustannej swej łasce i zrządź, aby sobie tak bogobojnie postępowała aż do śmierci!"

Gdy już cała rzesza pod lipą stanęła, znajdując się wśród wszystkich Beatus, rzekł poważnie temi słowy: "Najmilsi przyjaciele! Łaska Najwyższego zlała się na nas obficie i w tym roku. Obchodzimy ztąd też święto wesela. Lecz złóżmy mu też i nasze dzięki. Niechże będzie zawsze najpierwszą naszą czynnością, najpierwszem naszem weselem serdeczne dziękczynienie dla dawcy wszystkiego dobrego. Nie ma czystej radości, jeżli sobie przypomnimy, że Bóg jest jej sprawcą. Więc chwalcie Go i uwielbiajcie, dziękujcie Mu za odebrane dobro a proście Go o błogosławieństwo i na przyszłość. To uczyniwszy, cieszcie się i weselcie aż do nocy."

Jeszcze świętobliwy ojciec mówić nie przestał, a już klęczało na murawie całe grono wieśniaków i zanuciło pieśń na chwałę Boską.

Wśród śpiewu odezwały się z pagórka szałamaje, fujarki i trąby myśliwskie, a na ołtarzyku, niedaleko lipy w darniny postawionym, zapalił się ogień. Chłopcy i dziewczęta w pięknych ubiorach sypały weń kadzidło. — Przy końcu pieśni dodał Beatus to jeszcze: "Panie wysłuchaj modlitwy Twych dziatek i zlej na nich swe błogosławieństwo". Wszyscy zaś odpowiedzieli: "Amen, amen!" i wstali.

Teraz rozpoczęła się uczta. Ze wszystkiego! co tylko w tym roku miano, stało co najlepsze na stole; tu dobrze upieczone jagnię, tam smaczne dzikie koźlątko; owdzie leżały najwyszukańsze gruszki i jabłka, tu znów wyborne winogrona. Starego dobrego wina było w obfitości. Każdy go też zapijał ze smakiem. A wszyscy bawili się z sobą jak dzieci jednej rodziny. Młodzież osobliwie była bardzo rzeźka i wesoła a starzy przyglądali się z serdecznem uweseleniem, iż ich dzieci tak niewinnie z sobą rozmawiały.

Ojciec Beatus wybrał sobie zaraz z początku miejsce przy nieznajomej. Nic go tak nie bawiło, jak rozmowa z nią miana. Opowiadała mu swą daleką, uciążliwą podróż, co Beatusa bardzo wzruszyło. Przecię doradzał jej ciągle, aby nie rozpaczała i aby była dobrej nadziei w Bogu, który tylko swych dziatek doświadcza ale ich nigdy nie opuszcza.

Wtem dała się z pod lipy wiejska muzyka słyszeć. Starzy więc zawołali: "Aha tańce się zaczynają!" i pobiegli się przypatrywać. Znaleźli oni wszystkich już w naj-

większem uprzątnieniu. Chłopcy wdarli się na drzewa, aby dobrze mogli zobaczyć nadchodzące już pary. Dziewczęta zaś rozłożyły się w niejakiej odległości przy pagórku.

Oto się taneczniki pokazali. Pasterze i pasterki, wszyscy w bieli z zielonemi przy włosach wstążkami, upiękniwszy najpiękniejszą krowę z obory gospodarza różnemi kwiaty, prowadzili ją z wykrzykami pod lipę. Kije pasterskie były bluszczem uwieńczone a na kapeluszach kiwały się wielkie bukiety z górnych kwiatów Pod lipą potańczyli sobie po wiejsku. Potem postępując mimo chaty, zniknęli przed okiem widzów.

Teraz nadchodził inny oddział. Byli to winniarze i winniarki zielono ubrani a z czerwonemi wstążkami. Dwoje niosło pełen koszyk żółtych i modrych winogron. Noże młodzieńców były kwiatami obwinięte, a panny miały wieńce z winnego liścia. Ukończywszy pod lipą swe tany, zniknęli jak pierwsi na tejże samej drodze.

Lecz oto! jeszcze się jeden orszak dał widzieć. Odzywające się z dala waltornie, dały do zrozumienia, że myśliwcy i łowczynie nadciągają. Szary ich ubiór był żółtymi sznurkami obsadzony, a na kapeluszach powiewały pstre pióra z ptaków w górach żyjących. Na samym przodku niósł czerstwy chłopak ubitego dzikiego kozła. Miał go na ramionach. Tymczasem wywijali młodzieńcy łukami, dębowym liściem przyozdobionymi, częste wydając okrzyki. Od czasu puścił nie jeden strzałę, którą mu jaka z tańczących dziewic dała do strzelania. Wreszcie i ci zniknęli a powoli zasiedli widzowie znowu swoje miejsca pod jedlinami.

W tem zbliżywszy się gospodyni z nienacka do Teodory, prosiła ją grzecznie, aby zaśpiewała. Litością między ludem dla siebie pokazaną ujęta i pocieszona ufnością w Boskiej dobroci, zaczęła Teodora z spokojnością w duszy i na obliczu śpiewać pieśń swego męża najulubieńszą. Przytem towarzyszyły jej dźwięczne głosy mandoliny. Pieśń zaś była następująca:

Jak na powietrzu w lekkich obłokach
Gwiazdy ogromne wodzi w ich tokach;
Jak niezliczony piasek nad morzem
Zna i przeliczy okiem swem Bożem:
Tak i o ludziach łaska Jego święta
Ciągle, troskliwie pamięta.

W ciągu śpiewu panowała naokoło cisza najuroczystsza. Wszyscy mieli oczy ku śpiewaczce zwrócone. Na każdej twarzy malowało się głębokie wzruszenie. Ojciec Beatus siedział w zachwyceniu. Myśli jego, jak się zdawało, bujały w czasie śród niedoli ubiegłym. Łza spadała po łzie, rosząc mu siwą jego i długą brodę. Wzrok jego spoczywał to na grającej, to znowu na niebie. Nikt go z stanu tak błogiego zbudzić nie ważył się. — Wreszcie, gdy się już ludzie znowu na łąkę udali i tam wiejskie swe igrzyska rozpoczęli, a tylko Teodora wraz z kilku starcami przy nim pozostała, wtedy się dopiero z swego marzenia obudził, powtarzając na głos ostatnie pieśni słowa:

Tak i o ludziach łaska Jego święta
Ciągle, troskliwie pamięta.

"Tak czcigodny staruszku!" rzekła Teodora, "każde z tych słów zawiera w sobie prawdę, świętą prawdę. Czuje ją to od wczoraj, jako przedtem jeszcze nigdy nie czułam. W nędzy mej wołałam do Niego a On mnie ani mego dziecięcia nie opuścił. I na przyszłość będzie nas miał w swej pieczy. Pieśń ta już mnie raz w ufności ku Niemu umocniła. Będę ją śpiewała i w każdej następnej potrzebie."

"Droga Pani" rzekł Beatus, "gdybyś Pani wiedziała, jakie wrażenie ta pieśń na mnie uczyniła, przejęłabyś się litością, lecz i radość uczułabyś razem. Niegdyś rad jej słuchałem, rad ją nawet śpiewałem; ale gdy ją teraz słyszę lub śpiewam, budzi mi w sercu tylko żałosne wspomnienia. A przecie mi się wreszcie tak słodko robi i tak cudne mam przeczucie, jak gdybym ją kiedy jeszcze radośniej miał nucić. I tak mi się teraz znowu stało. Pewna wesołość przenika teraz spokojnie wszystkie me członki. O! Paniś mię swem pieniem niespodzianie ucieszyła. Czuję się do Pani być przywiazanym jak do własnej córki, kto tę pieśń umie, tegobym z radości o mało nie uściskał. Jakżebym się cieszył, gdyby mię kto czasem w smutnych godzinach tą pieśnią mógł rozweselić!"

(Ciąg dalszy nastąpi).

RZEŹ W KROŻACH.

(Dokończenie.)

Mitrafanow.

(*Zataczając się mówi do oficera:*) Konie nakarmiliśmy owsem chłopów, pieniędzy trochę zebraliśmy, wedle rozkazu pohulaliśmy. (*Zaczyna tańczyć i krzyczy:*) Boże zbaw cara, cara, cara!...

Kozacy.

(*Powtarzają razem*) cara, cara, cara!...

Oficer.

Nu kozacy, już dziewiąta godzina, zaraz nas zapotrzebuje gubernator, musimy przygotować się w drogę!

Mitrafanow.

Trzeba jeszcze sprzedać żydom niektóre rzeczy, ponieważ wszystkich z sobą zabrać nie będziemy mogli.

Oficer.

Możecie. (*Opiera się o kulisy i poczyna drzemać.*)

Mitrafanow.

(*Odchodzi i za chwilę wraca z żydem*)

Żyd.

Ny, co wy tu macie na sprzedanie?

Kozacy (*wszyscy pijani ledwie stoją na nogach, popychają się i żyda, pokazują różne przedmioty, jak zegarki, szpilki, chustki itd.*)

Żyd.

Ja od was wszystko będę kupić. A ile wy za to chcecie?

Mitrafanow.

My tobie to wszystko tanio sprzedamy, bo nie mamy tego gdzie podziać. To co tu widzisz i co jest złożone do wozów, my tobie sprzedamy za sto rubli.

Żyd.

Aj, waj! Jak wy dużo chcecie zarobić? Wszak wam te rzeczy ani jednego grosza nie kosztują?

Mitrafanow.

A czemuż to ty chcesz tak dużo zarobić? Te wszystkie rzeczy są warte tysiąc rubli, a my tobie sprzedamy za sto dla tego, że ich nie mamy gdzie podziać, bo zaraz ztąd odjeżdżamy.

Żyd.

Alboż to wczoraj ja wam mało wypłacił pieniędzy, za zboże, za pościel, za gęsiów i za innych rzeczów, a wy zawsze chcecie więcej.

Mitrafanow.

Tyś nie zapłacił nawet dziesiątej części wartości tych rzeczy, a jeszcze mówisz głupstwa. Tyś powinien nam podziękować za to, że my dajemy ci zarobić.

Żyd.

Ny, na to ja jestem żyd, żeby zarobić... Ny, ja wam będę dać jeszcze wódki i będzie zgoda. (*Daje trochę pieniędzy i wódki, zabiera rzeczy i wychodzi*).

SCENA V.

(*Ciż bez żyda — i gubernator.*)

Gubernator.

(*Wchodząc mówi:*) Kozacy! przypędźcie tutaj tych suki synów!

Kozacy.

(*Spostrzegłszy gubernatora, kończą spiesznie picie wódki, rzucają butelki i ledwie stoją na nogach, oddają uszanowanie, a wysłuchawszy rozkazu gubernatora, idą, przypędzają ludzi przed niego.*)

Gubernator.

(*Podając papier mężczyznom i mówi:*) Tu na tym papierze musicie podpisać, że gubernator przy zapieczętowaniu kościoła nic złego nie uczynił i że o postępowaniu

gubernatora nic złego powiedzieć nie możecie.

Ludzie.

(*Podpisują się i papier oddają gubernatorowi.*)

Gubernator.

(*Do kozaków*). Teraz zapędźcie tych suki-synów do policyi, a ztamtąd powysyłają ich tam, gdzie będzie trzeba!

Kozacy.

(*Otaczają lud, trzymają wzniesione nahajki, potem biją i pędzą.*)

Lud.

(*Wychodząc śpiewa:*)

Żegnajcie Kroże, Ojczyzno nasza,
Serce się kraje, duch się przestrasza,
Żegnaj krożański piękny kościele,
Tuśmy doznali pociech tak wiele,
Żegnajcie drodzy nasi rodzice,
Żegnajcie bracia. My nic nie wiemy,
Może w niewoli kędy pomrzemy.
Żal nam wychodzić z tych lubych stron,
Żal nam rodziny, żal wiernych żon.
Ach jak rozrzewnia nas widok twój;
Tu wciąż nam płynął łask Boskich zdrój.
Może to już po ostatni raz;
My nie przestaniem wspominać was.
Dokąd tyrani zapędzą nas;
Siostry i krewni żegnamy was!

Kurtyna zapada.

KONIEC.

DESZCZ I POGODA.

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE

p. LEONA GOZLAN,

TŁOMACZENIE Z FRANCUZKIEGO.

OSOBY:

BARONOWA de GONTRAA, młoda wdowa,
NIEZNAJOMY.
WIKTOSIA, służąca,
ANZELM, lokaj.

Scena na wsi w zamku Baronowy.

(*Salon elegancki, w głębi kominek, nad którym lustro, po prawej stronie pianino, po lewej zawieszony barometr, drzwi w głębi i po obu stronach, po lewej stronie okno, kanapa, stołki, stół, a na nim książki:*)

SCENA I.

(*Słychać padanie deszczu, który ustaje, gdy baronowa mówić przestanie.*)

Barometr (*ujmując Barometr*).

Już dłużej "nie wytrzymam, sześć miesięcy deszcz nieustanny. Trzeba raz skończyć". (*Zdejmuje barometr i rzuca na ziemię.*) Otóż tak, aż mi się ulżyło (*wychodzi na prawo*).

Wiktosia (*patrząc na rozbity barometr.*)

Ho, ho, ho!

Anzelm.

Co za szkoda, taki śliczny barometr?

Wiktosia (*czyta dziennik.*)

Trzeba to pozbierać.

Anzelm.

Proszę mi pomódz lepiej, niż czytać gazetę — to musi być coś bardzo ciekawego?

Wiktosia.

Spodziewam się. Mirandon złapany.

Anzelm.

Być nie może?!

Wiktosia (*czytając.*)

"Udało się nareszcie wpaść na trop słynnego rozbójnika. Mirandon schwytany w Saint Marcel"...

(Ciąg dalszy nastąpi.)